

Bp. Andrzej Czaja: To wierni są świątynią

Rozmawiali: Beata Łabutin, Leszek Frelich

Człowiek ma prawo sądzić i mówić, że nie jest mu potrzebny Kościół, że sam sobie z Panem Bogiem poradzi. Sprzyja temu dominujące dziś mocne przekonanie o zasadności pełnej autonomii człowieka. Ale nie da się być z Chrystusem w oderwaniu od Kościoła - mówi opolski biskup Andrzej Czaja

Rozmowa z biskupem ordynariuszem

Beata Łabutin, Leszek Frelich: Kiedy ksiądz biskup rozmawia sam ze sobą czy przemyśliwuje, to po śląsku czy po polsku?

Ks. biskup Andrzej Czaja: Naturalnie po śląsku. Kiedy byłem na KUL-u, a ktoś z domu rodzinnego do mnie zadzwonił, to automatycznie przechodziłem na gwarę śląską. Mama by się chyba zdziwiła, gdyby usłyszała w telefonie czystą polszczyznę. Natomiast, gdy był u mnie jakiś gość z tamtego uniwersyteckiego środowiska, to czasem prosił: "Niech ksiądz powie coś jeszcze po śląsku". Jednak gwarą łatwiej jest mówić, kiedy ma się przed sobą Ślązaka.

Czy trafne zatem będzie powiedzenie, że jest ksiądz śląskim biskupem?

- Mówienie o biskupie śląskim, polskim czy niemieckim - to mówienie językiem świata. Przede wszystkim jestem biskupem Kościoła katolickiego. Biskup nie może się utożsamiać z jakąkolwiek narodowością czy tym bardziej jakąkolwiek odrębnością.

Byłbym więc ostrożny w nazywaniu mnie biskupem śląskim. Lepiej powiedzieć: biskupem pochodzącym ze Śląska, biskupem Ślązakiem. Jeśli powiemy "biskup śląski", to od razu niektórzy mogą zapytać: jak on w takim razie potraktuje Polaków, jak Niemców? A ja jestem dla wszystkich.

Co dla księdza biskupa oznacza bycie Ślązakiem?

- Trudno to określić jednym słowem. To, że jestem Ślązakiem oznacza, że mam u swoich korzeni bogactwo pewnych elementów, które na tej ziemi zawsze były, i narodowych, i kulturowych, i etnicznych. Ale mam też w sobie pewną taką swojską jakość, którą odkrywa się lepiej, kiedy się Śląsk opuści, choćby na parę lat. A ja spędziłem 20 lat w Lublinie. Kiedy się opuszcza tę ziemię rodzinną, ojcowiznę, Heimat, odkrywa się co jest wartością, a co słabszą stroną śląskości.

Jakie minusy i plusy śląskości ksiądz biskup dostrzegł?

- Myślę, że jedną z największych wartości, jaką daje urodzenie się na Śląsku, nawet jeśli nie pochodzi się z rodziny typowo autochtonicznej, jest otwartość. Mój kolega, z którym mieszkalem w konwikcie księży w Lublinie w jednym pokoju - którego mama pochodziła z Bydgoszczy, a ojciec spod Lwowa - wyrażał nieraz swą radość z tego powodu, że urodził się na Śląsku. Podkreślał, że dzięki temu ma szersze spojrzenie na wiele rzeczy i otwarcie na różnorodność.

To otwarcie bardzo pomaga w prowadzeniu dialogu ekumenicznego. Dla mnie nie jest problemem otwarcie się na inność wyznaniową tego czy tamtego.

Myślę, że plusem śląskości jest też szczególne umiłowanie ziemi rodzinnej, tego, co trudno do końca wyrazić. Pamiętam, jak dziadek mówił mi, kształtując w swoim czasie moją tożsamość: "Pamiętaj, dla nas, Ślązaków ma drugorzędne znaczenie, czy jesteśmy w obszarze państwa niemieckiego czy polskiego, pod Koroną Czeską, czy Austrią". Najważniejsze było zawsze to, żeby żyć w swoim Heimat, tu, na tej ziemi. Tylko tu jest nasze, śląskie. Tu se możemy pogodać.

A minusy? Powiem tak: dość duża lękliwość. Obserwowałem rzecz będąc dwa lata w Niemczech. Wielu z tych Ślązaków, którzy od nas wyjechali, woli pozostawać anonimowymi, nie chcą być rozpoznawani jako Ślązacy, niektórzy odgrywiają w związku z tym "wielkiego Niemca".

Jest coś też w Ślązaku takiego, że jak widzi drobne nawet zagrożenie, niebezpieczeństwo czy potrzebę jasnego określenia się, woli zastosować unik. Myślę, że wiąże się to z trudnymi doświadczeniami w historii tej ziemi. Nieraz Ślązak drogo płacił, gdy podniósł głowę. Czasem więc jest taki zachowawczy aż nadto. Bywa też nieraz bardzo nieufny, dopóki się nie przekona do drugiego. Ale jak już się przekona, to już jest do rany przyłóż [ks. biskup rozkłada ręce z uśmiechem - przyp. red.].

To tylko kilka kwestii z bardzo wielu. Gdybym tak wokół tego stołu posadził paru Ślązaków, niektórzy już by ze mną polemizowali. To też przejaw wielkiej różnorodności pośród Ślązaków, w tym wypadku różnorodności widzenia nawet podstawowych spraw.

20 lat temu na łamach „Teologii w Polsce” pisał ksiądz, że konieczne jest na Śląsku pojednanie Polaków, Ślązaków i tych, którzy uważają się za Niemców. Jak ksiądz biskup ocenia to pojednanie dziś?

- Dziś jesteśmy zdecydowanie dalej niż wtedy, gdy to pisałem. Wówczas rozbudzono demony z przeszłości, a niektórzy na dawnych waśniach i sporach chcieli ugrać swoje.


Chodzi o sytuację z wyborami uzupełniającymi do senatu po śmierci Jana Osmańczyka, gdy doszło do ostrej polaryzacji między Polakami a Mniejszością Niemiecką?

- To był taki moment, kiedy rzeczy, które już były w sobie jakoś pojednane, a przynajmniej jakoś utajone, zostały sztucznie przez pewne osoby na nowo rozbudzone. I trochę się zaczęło gotować. Dziękować Panu Bogu, że mieliśmy wówczas takiego pojednawcę, jak ksiądz arcybiskup Alfons Nossol. Bo mogło być różnie.

Byłem wtedy na KUL-u, pytano mnie z każdej strony: "Co się tam u was dzieje? Toż to Niemcy dochodzą coraz bardziej do głosu. Może dojść do jakiegoś powstania, zamieszek. Róbcie coś. Tak dalej nie można". W wielu momentach byłem wywoływany z szeregu i trzeba było tłumaczyć, że nie jest tak, jak nieraz upraszczano rzecz w mediach, że rzeczywistości na Śląsku nie można sprowadzać do myślenia: jak nie polskie, to znaczy, że germańskie. My ze Śląska tłumaczyliśmy w Lublinie, że na śląską rzeczywistość trzeba spojrzeć szerszej. Trzeba mieć świadomość, że pośród autochtonów istnieje duża różnorodność: jest Ślązak-Polak, Ślązak-Niemiec i Ślązak-Ślązak. A do tego dochodzi jeszcze cała paleta kolorów w ramach każdej z tych tożsamości.

Tuż po ogłoszeniu nominacji na opolskiego biskupa powiedział ksiądz w wywiadzie dla KAI: „chcę opierać moją posługę na współdziałaniu z tymi, do których zostałem posłany”. Na czym ma polegać to współdziałanie z diecezjanami?

- Przede wszystkim chodzi o współdziałanie na poziomie wiary. Na wzajemnym otwieraniu się na Jezusa. Jako biskup jestem tym, który pierwszy ma do tego nakłaniać, jestem tym, który do tego został posłany, ustanowiony, wybrany. Mam być animatorem i stróżem wiary w Jezusa. Równocześnie jestem tym, który chce i potrzebuje czerpać z wiary katolickiej ludu Bożego. Od wielu lat czerpię z wiary ludu śląskiego, z wiary ludu na Lubelszczyźnie i to jest bogactwo mojej wiary, za które Panu Bogu dziękuję. Tą wiarą Kościoła chcę się też dalej ubogacać. Chodzi więc o wzajemne ubogacanie się żywą wiarą, przełamywanie się Jezusem.

 To, rzecz jasna, wymaga ode mnie okazania wszystkim ludzkiej twarzy, ludzkiego oblicza.

Bo jeśli idzie się z Ewangelią, a nie jest się człowiekiem, czyli nie umie się poszanować drugiego, to się Ewangelii zaprzecza, szkodzi się dziełu ewangelizacji. Najpierw trzeba pokazać ludzką twarz, żeby otworzyć drugiego na chrystusową Ewangelię.

Pisał ksiądz biskup w jednym z artykułów w „Więzi”, że w nauczaniu wiernych: „Trzeba przekazywać więcej dobrej nowiny bez moralizatorstwa”. Czyli co wierni mieliby słyszeć na kazaniach, jeśli nie morały?

- No, myślę, że do tej pory nie same morały wierni słyszeli z ambony. Na całe szczęście to nie jest tak, że tylko morały prawimy, że tylko moralizujemy. Ale rzeczywiście w niektórych momentach jest za dużo pouczania, mówienia co możesz, czego nie możesz. A za mało jest odpowiedzi na pytania, dlaczego to możesz, a tamtego nie.

Chodzi o budzenie właściwej motywacji, wskazywanie wartości, które dyktują mi takie, a nie inne zachowanie.

Krótko mówiąc, trzeba dziś więcej mówić o Bogu, o Jego Ewangelii, łasce, prawdzie, o tym, co nam dał, co nam daje wciąż. Jeżeli przedstawię na ambonie wielkość Boga, wspaniałość Jego miłości do człowieka, to nie muszę już człowiekowi tłumaczyć, dlaczego ma wybrać tę, a nie inną drogę.

Jeżeli przedstawię Jezusa jako Tego, który kocha i który tak nas ukochał, że życie swoje dał i ciągle daje, to przedstawię człowiekowi samą miłość Boga uosobioną w Jezusie Chrystusie! A kto z nas nie chce miłości? Kto z nas nie chce być kochany i to jeszcze taką miłością, która nie rani, ale raczej siebie pozwala ranić? Co więcej, pozwala siebie unicestwić, zabić, żeby tylko drugiego uszczęśliwić. Chodzi mi o taki przekaz.

Nie mówmy więc ciągle na pierwszym miejscu o tym, co mamy robić. To też powiedziec należy, ale bardziej na poziomie katechezy, bo wiedzę religijną chrześcijanin musi posiadać. Najpierw jednak musimy ugruntować podstawowy poziom prawd o Bogu i o tym, co uczynił dla nas. Potem powinniśmy wdrożyć wiernego w misteria chrześcijańskie, w to, co oznaczają sakramenty, w co nas wprowadzają. Kiedy dziś zaczniemy człowiekowi wyjaśniać pewne znaki, symbole, misteria, to bardziej go wtajemniczymy w głębię tego, co one ze sobą noszą. Bo chrześcijaństwo jest dziś najczęściej niezrozumiałe.

Ksiądz biskup pisał też, że trzeba przewycięzać zafalszowany obraz Boga jako srogięgo sędzię. Że jedynie słuszna jest pedagogia nadziei, a nie zastraszania. Czy nie obawia się ksiądz, że jeśli zniknie z nauczania zagrożenie karą, to ludziom Bóg przestanie być potrzebny?

- Nie miałem na myśli tego, że coś mamy zafalszowywać. Nie możemy wycinać tekstów, w których Jezus mówi, że będzie kara, że będzie piekło. O tym też musimy mówić.

Tylko proszę zauważyć, że w orędziu Bożym jest pewna hierarchia prawd. Są rzeczy, o których Jezus mówi na każdym kroku i w ten sposób daje nam do zrozumienia, że to jest najważniejsze, że to jest istota. Inne prawdy są też ważne, lecz wtórne. Ważne jest właściwe porcjowanie, właściwe dawkowanie. Chodzi o uwzględnianie hierarchii prawd. Ponadto historia Kościoła uczy, że pedagogia zastraszania nie jest skuteczna i rodzi gorzkie owoce.

Często jednak podczas kazań słyszymy najpierw grzmoty, a potem dopiero słowa o miłości.

- Dlatego to napisałem, dlatego to mówię. To, co już dziś jest wyraźnie zapisane na papierze, w ramach recepcji nauczania Soboru Watykańskiego II, chociażby w dokumentach naszego Pierwszego Synodu Opolskiego, trzeba ciągle jeszcze lepiej przełożyć na nasze duszpasterstwo.

Państwo doskonale wiecie, że największe problemy - nie tylko tu, na śląskiej ziemi - wiążą się z przewyciężaniem starych mechanizmów i utrwalonej mentalności. Na to potrzeba czasu.

Niektóre zwrotnice muszą być, jeśli nie przestawione, to na pewno skorygowane. Obecny papież w jednym ze swoich artykułów idzie bardzo daleko. Przekonuje, że jeżeli pewne struktury okazują się z czasem mało wartościowe, choć do tej pory były w Kościele bardzo ważne, to trzeba mieć odwagę nie tylko je skorygować, ale wręcz wycofać. Nie chcę tu mówić o konkretnych jakichś strukturach, ale to jest bardzo ważna myśl.

W naszym planowaniu duszpasterstwa i urzeczywistnianiu projektów duszpasterskich musimy o jednym pamiętać, że najważniejsze jest to, byśmy służyli zbawieniu człowieka. Sobór to nam mocno postawił i o tym musimy pamiętać, że sensem Kościoła nie jest budowanie mocnego Kościoła, bo on jest tylko (i aż) narzędziem zbawienia rodzaju ludzkiego. Jego sensem jest zbawienie człowieka. Nie chodzi o budowanie "kościółka" dla "kościółka", ale o służebny charakter Kościoła. Chodzi o Kościół, który jest całkowicie przejęty troską o zbawienie człowieka.

Pisał ksiądz biskup na łamach „Więzi”, że jest przekonany, iż poważny błąd popełniają ci, „którzy młodemu pokoleniu Polaków w szkole i na studiach przedstawiają Kościół sięgając do doświadczeń minionych dni, akcentując wspaniałość, wielkość i zasługi w obronie narodowej tożsamości. Tymczasem to pokolenie nie ma i nie zna tych doświadczeń i w związku z tym Kościół musi być im obcy. Trudno im się w nim znaleźć”. Czy ktokolwiek podziela to zdanie księdza Ślązaka, mającego doświadczenie patrzenia z perspektywy?

- Ja dalej obstaję przy tym zdaniu, tylko chcę powiedzieć, że to nie oznacza lekceważenia historii Kościoła i potrzeby poznawania jej. Chodzi jedynie o to, że kiedy otwieram na Jezusa, nie powinienem zaczynać od historii. Nie powinienem zaczynać od patosu, pompatyzmu,

podkreślania wspaniałości Kościoła w dobie walki z komunizmem. Ładną książkę na ten temat napisał w latach 50. Yves Congar: "Falszywa i prawdziwa reforma w Kościele". Została przetłumaczona przez "Znak" dopiero cztery czy pięć lat temu. W środowisku kościelnym ją zauważono. Chcę nawiązać do jednego z rozdziałów tej książki.

Autor, analizując historię Kościoła, stara się pokazać, dlaczego doszło do takiej, a nie innej reformacji na początku XVI wieku, do takiego pęknięcia w Kościele. Uważa, że w wiekach XIV i XV popełniano błąd polegający na tym, że widziano potrzebę reformy, widziano potrzebę zmian, ale odwoływano się - jako do punktu odniesienia - do wspaniałego XIII wieku, tj. złotego wieku scholastyki. W nim widziano zasadniczy wzorzec i kryterium reformy.

Tymczasem wzorcem dla Kościoła po wsze czasy jest Chrystusowa Ewangelia. Gdyby Kościół XIV, XV wieku - stwierdza Congar - szukał wskazań do swej odnowy właśnie w Ewangelii, to być może nie doszłoby do reformacji. A ponieważ tego nie czyniono, to choćby Lutra nie było, znalazłby się ktoś inny. Do rozłamu musiało dojść, bo tworzyło się coraz większe rozdwojenie między Ewangelią a życiem Kościoła.

I teraz to wszystko przenieśmy na to, co powiedziałem. Musimy pamiętać po pierwsze o tym, że zawsze w kształtowaniu i życia Kościoła, i naszego odniesienia do człowieka, także tego młodego, pierwszym kryterium musi być Ewangelia, a nie powoływanie się na wspaniały czas miniony. To, co było wtedy - z całym szacunkiem dla tego czasu - musimy przechować, pielęgnować, ale nie możemy kształtować dzisiejszego Kościoła w oparciu o taki punkt odniesienia. Wówczas może dojść do rozziwów.

Mówi się przecież, że wciąż widać w Kościele mechanizmy, które jakby przetrwały z dawnego czasu. Ja czasem przewrotnie studentom tak mówiłem: Kościół aż tak bardzo musiał się zmagać z komunizmem, że co nieco mu tu i tam z tego komunizmu zostało. Np. mechanizm nastawienia na masy. Zwłaszcza starsi księża tak podchodzą do rzeczy: co nie spotyka się z dużą frekwencją wiernych, nie jest warte podejmowania. I to myślenie sprawia, że ciągle zbyt rzadko podejmuje się na parafiach trud katechezy dla dorosłych. Skoro przyszło siedmiu, to dajmy sobie spokój.

Tymczasem przypomnijmy sobie jak Abraham targował się z Bogiem. Naprawdę warto trudzić się dla dziesięciu, dla siedmiu. Chodzi dziś o tę "resztę Izraela", która przechowa i przekaże dynamizm Ewangelii.

W oparciu o współczesną "resztę Izraela" wiara przetrwa destrukcyjny wpływ laicyzacji i cichej apostazji; o tę garstkę, która będzie naprawdę wiedziała, o co chodzi w Ewangelii, kto to jest Jezus, czego od nas oczekuje i co nam oferuje. Bo jeśli będziemy mieli tylko masy - takie "mniej więcej" - to zatracimy swoją tożsamość.

Dlatego nie ma co zaczynać ewangelizować młodego człowieka od - nazwijmy to - wypominek minionych dni, z całym dla nich szacunkiem, także dla ludzi, którzy wtedy kształtowali żywotność Kościoła i wiary. Pamięć o nich musi przetrwać, ale budować trzeba w oparciu o żywą Ewangelię i odnosząc się do znaków czasu we współczesnym świecie.

Jaką rolę widzi ksiądz biskup dla opolskich duszpasterzy, także dla siebie, jako reakcję na tak powszechne u nas zjawisko rozłąki, czy dzieci z chorobą sierocą?

Bp. Andrzej Czaja: Przychodzę po dwudziestu latach i przez pierwsze trzy lata, a już na pewno przez pierwszy rok zechcę na nowo, na świeżo rozeznaczyć tę ziemię, na której tak wiele się zmieniło. Przez pierwsze lata będę chciał organizować wiele różnych forów, spotkań służących wymianie myśli i doświadczeń czy to z osobami świeckimi, z osobami zakonnymi, czy z księżmi, z myślą o wypracowaniu wizji, optyki i metod działań.

Natomiast odnosząc się wprost do nieszczęścia rozłąki, powiem tak: nie wystarczy stworzyć wiele nowych miejsc pracy. Potrzeba szeroko zakrojonego programu wsparcia dla naszych rodzin, dobrej współpracy Kościoła i lokalnych władz, między innymi z myślą o odbudowie wzajemnych więzi i dobrej komunikacji w rodzinie pomiędzy małżonkami oraz między rodzicami i dziećmi.

Uważa ksiądz, pisząc w swych publikacjach, że potrzeba większego włączenia w życie parafii wiernych świeckich. Jak to zrobić?

- Na wielu parafiach działa to już na różnych poziomach życia. Możliwości zaangażowania wiernych świeckich w Kościele jest mnóstwo. Niewątpliwie są jeszcze potrzeby wzajemnego otwarcia się na siebie.

Czasem wierny mówi: proboszcz mnie do pracy nie dopuści, wszystko robi sam. I tak rzeczywiście bywa. Mamy jeszcze wielu nieufnych proboszczów. Uważają, że nie mogą tego czy tamtego dać do rąk świeckiemu, bo wszystko zmarnuje.

Ale jest też druga strona medalu. Nieraz proboszczowie się skarżą, że chcą, by parafianie wzięli we własne ręce to czy tamto. Tymczasem parafianie kwitują rzecz następująco: Czego się ksiądz czepia? Do kościoła w niedzielę chodzę, na tacę daję i na kolędzie, i czego ksiądz jeszcze chce? Niech mi ksiądz da święty spokój.

Chodzi więc o wzajemne otwarcie się na siebie. Trzeba obudzić większą ufność księży do świeckich, a w wiernych świeckich rozwijać świadomość bycia podmiotem w Kościele, że nie są tylko przedmiotem duszpasterskiej troski.

Nowe piąte przykazanie kościelne - "Troszczyć się o potrzeby wspólnoty Kościoła", zdaniem wielu jest jawnym nakazem wspierania materialnego parafii. Jakby ksiądz biskup na te obawy odpowiedział?

- Nie ulega wątpliwości, że wszyscy odpowiadamy za dobro wspólnoty Kościoła. Odpowiedzialność ta dotyczy również materialnej strony konkretnej parafii i nie wiem, jakie obawy mieć na myśli. Wspieranie materialne parafii nie jest nakazem, lecz konsekwencją udziału we wspólnocie parafialnej, jeśli nie chce się w niej być tylko biorcą, żeby nie powiedzieć pasożytem.

Czy nie sądzi ksiądz biskup, że religia w szkole może zniechęcać młodych ludzi do Kościoła? Kiedyś chodzenie popołudniami na religię do salek przy kościołach było czymś wyjątkowym. Teraz wielu uczniów traktuje religię w kategoriach przymusu, jako jeszcze jeden przykry szkolny obowiązek.

- To temat rzeka, głęboki i poważny. Mam wrażenie, że lepiej byłoby zrezygnować z jednej godziny religii w szkole i przenieść ją do salek. Nie jest to jednak takie proste i nie znaczy to, że w ogóle katecheza w szkole to samo zło. Jest w wielu momentach - i trzeba to nazwać po

imieniu - źle ze szkolną katechezą. W wielu miejscach trzeba by dokonać rewizji i zmiany garnituru katechetów. Ale jak to zrobić? To są personalia, za tym stoi życie, stoją źródła utrzymania. To wszystko nie jest takie proste. Ale to, że nie jest proste, nie znaczy, że nie będziemy musieli się tego podjąć.

Jest też wiele wspaniale funkcjonujących szkół z katechezą na wysokim poziomie. Mamy wielu wspaniałych katechetów - chcę to mocno podkreślić. Potrzeba jednak rozważnej debaty na temat lepszego przygotowania katechetów, lepszego ich rozliczania z tego, co oferują w szkole, a także większego z troskaniem o dobrą współpracę na linii katecheta - grono pedagogiczne, katecheta - proboszcz.

Istnieje także ważka kwestia przejrzania niektórych podręczników. Uważam, że niektóre nie są dobrze dostosowane do grup wiekowych. Jeżeli w kształtowaniu podręczników do katechezy nie weźmie się pod uwagę zdania pedagogów, zdania praktyków, a powierzy się wszystko teoretykom katechezy, to będziemy się rozmijali z potrzebami dzieci. Jestem tego świadomy, tak samo jak i tego, że nie zmienimy wszystkiego z dnia na dzień jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Pewne kroki trzeba jednak podjąć. Trzeba też podjąć bardziej zdecydowanie, w sposób lepiej zorganizowany, katechizację dorosłych. Na pewno trzeba zadbać o to, by była przynajmniej oferta i nie można się zrażać tym, że na zaproszenie nie odpowie tylu, ilu by się chciało.

Ale przyjdą ci, którzy będą chcieli.

- I o to właśnie chodzi! Gdy wprowadzano katechezę do szkół, mówiłem - i zarzucano mi wówczas ateistyczne myślenie - że o dwie rzeczy będzie nam trudno zadbać. Po pierwsze - o formację wiary: będziemy przekazywać wiedzę, ale nie będziemy wiary kształtować.

Po drugie - będzie nam bardzo trudno związać młodego człowieka z Kościołem, z konkretną wspólnotą parafialną. I to się, niestety, sprawdza, choć wolałbym, żeby tak nie było. Episkopat jest dziś tego świadom i dyskusje na ten temat się toczą. To nie jest tak, że Kościół nie ma świadomości, że biskupi tego nie widzą.

Przekonuje też ksiądz w swoich artykułach, że konieczna jest rewizja kultu maryjnego. Polakom trudno będzie to przyjąć. Na czym miałoby to polegać?

- Na to pytanie odpowiedziałbym opowieścią. Przychodzi do mnie kiedyś ojciec Celestyn Napiórkowski, mój profesor, przez wiele lat kierownik jedynej w Polsce Katedry Mariologii. To była któraś niedziela października. Przyszedł cały roztrzęsiony z jednego z kościołów Lublina i mówi: "Słuchaj, porażka! Porażka". Pytam, o co chodzi? "To porażka mojego życia albo więcej - całej polskiej mariologii". I opowiada, że był w kościele. Panował półmrok. "Nie wiem, gdzie jest tabernakulum, nie widzę krzyża, ale Maryja jest tak oświetlona, że taka myśl mi przyszła do głowy: czy my, chrześcijanie Kościoła w Polsce, nie wierzymy aby w Matkę Bożą jak w boginię? Bo gdyby tak było, to fatalnie... Całe życie poświęciłem temu, żeby należną czią otaczać Maryję".

W tym kontekście powiem, że wszelkie pomysły, by ogłosić kolejny dogmat maryjny o Maryi jako Wszechpośrednicze łask, czy Współodkupicielce, trzeba uznać za niestosowne. To nas pcha w takim kierunku, jakoby Maryja była boginią. Już w dobie Soboru wielcy teologowie pisali o tym, że wprowadziliśmy Maryję na miejsce należne Duchowi Świętemu. I jest coś na rzeczy.

Tu widzę wielką naszą odpowiedzialność, biskupów i księży - zatroszczyć się o odpowiednią formację i należyte kształtowanie wiernych. Właśnie m.in. na tym poziomie oczekuję dobrej współpracy z moimi prezbiterami.

📖 A jaki jest pogląd księdza biskupa na spowiedź powszechną zamiast konfesjonału? Słyszy się często opinie, że ksiądz, który nie ma zwykłych życiowych problemów związanych z rodziną, dziećmi, żoną, ciasnym mieszkaniem i głodową pensją, nie będzie ani dobrym powiernikiem, ani doradcą. Może więc lepsza byłaby spowiedź powszechna, praktykowana przecież w niektórych krajach?

- Spowiedź powszechna jest owszem praktykowana w niektórych krajach. Niestety praktyka ta jest nadużywana i nieraz nielegalnie realizowana. Prawo Kościoła zezwala na taką praktykę nade wszystko na terenach misyjnych i w sytuacji bardzo określonych uwarunkowań duszpasterskich; wymaga też od razu, po skorzystaniu z takiej spowiedzi, skorzystania z konfesjonału i wyznania raz jeszcze grzechów ciężkich, gdy tylko penitent ma do tego sposobność.

Znakiem czasu jest zaś dzisiaj wielki głód kierownictwa duchowego i szukanie dobrego spowiednika, zwłaszcza ze strony młodego pokolenia. To znaczy, że konfesjonału się nie odrzuca, nie lekceważy i że wierni zakładają, a co najmniej dopuszczają, możliwość bycia księdza dobrym powiernikiem i doradcą. Właśnie z konfesjonału ksiądz wie bardzo wiele o życiu małżeńskim i rodzinnym. Ma możliwość korzystania z wielu doświadczeń, bardzo wielu małżonków, rodziców i dzieci. Trzeba natomiast podnieść jakość korzystania z konfesjonału i jakość posługiwania w nim.

Pisał też ksiądz biskup w "Więzi" o tym, że: "Kościół traci, gdy pojawia się w nim grzech, a zwłaszcza trwanie w grzechu, np. z powodu znieczulicy sumienia, zamiatania brudów pod dywan, hołdowania zasadzie: cel uświęca środki". Stąd nasze pytanie, jaki jest księdza pogląd na problem dzieci księży, często wyrastających w aurze "dziecka grzechu"? Czy taki ksiądz nie powinien zdjąć sutanny i zająć się wychowaniem dziecka? Czy nie ważniejsze od powołania do kapłaństwa jest poczucie komfortu i bezpieczeństwa dziecka przy obojgu rodzicach?

- Osobiście uważam, że ksiądz powinien zdjąć sutannę i odpowiedzialnie zająć się niewiastą, z którą zgrzeszył i dzieckiem, któremu dał życie. Gdy na szalach są położone wspaniały Boży dar Chrystusowego kapłaństwa i dar nowego życia wzbudzonego za dopustem Bożej opatrności, jestem przekonany, że Ewangelia karze wybrać życie. Trzeba Pana Boga przeprosić, że zlekceważyło się wspaniały dar, którego godne używanie domaga się życia w czystości i trzeba podjąć zaciągnięte nowe obowiązki.

To oznacza konieczność rezygnacji z zachowania swego status quo, które i tak już uległo załamaniu wskutek tego, co się dokonało. Przyjęcie takiej postawy przywraca pokój serca. Oznacza mężne wstąpienie na krzyż, bez przymusu i nalegań, oznacza poświęcenie własnego życia, by innego życia nie skrzywdzić. Choć to wszystko bardzo boli, oznacza życie w miłości, które owocuje na wieczność.

Na koniec chcielibyśmy prosić księdza biskupa o odpowiedź na pytanie, jakie wielu sobie zadaje. W jednej ze swych publikacji ksiądz biskup też zauważył, że: "człowiek tęskni za bezpośrednim kontaktem z Bogiem i woli kroczyć ku Niemu po swojemu. Dlatego pyta i

ma prawo pytać, dlaczego ma wierzyć w Kościół, po co i co to znaczy". Co ksiądz biskup takiemu człowiekowi odpowie?

- Najpierw powiem, że po ludzku, w ramach ludzkiej optyki, człowiek ma prawo tak sądzić i mówić, że nie jest mu potrzebny Kościół, że sam sobie z Panem Bogiem poradzi. Sprzyja temu dominujące dziś mocne przekonanie o zasadności pełnej autonomii człowieka. Ujawnia się w tym wpływ oświeceniowej antropologii, która stawia człowieka na piedestale, na miejscu Pana Boga. Wskutek tego człowiek zaślepiony sobą, nie daje sobie nic powiedzieć i wszystko lepiej wie. Jednak jeżeli poważnie myśli o Panu Bogu, o tym, żeby być z Nim, wejść z Nim w komunię, to musi wczuć się w optykę Boga. Przecież, jeśli chcemy się dobrze skomunikować z drugim człowiekiem, to musimy się przejąć jego optyką. I tak też jest na poziomie komunikacji z Bogiem, który ma swoją optykę. Jeżeli naprawdę chcemy się z Bogiem komunikować, to musimy tę optykę uwzględnić.

A tę optykę Bóg objawił. Zapisał ją w Piśmie Świętym, w słowie objawionym. Jednoznacznie wyraża rzecz Pierwsza Księga Samuela, w pięknym tekście opowiadającym o tym, jak to Samuel przychodzi namaścić nowego króla w miejsce Saula. Jesse przedstawia mu siedmiu synów, a Samuel jest przekonany, że powinien namaścić najstarszego. Słyszy jednak, że Bóg widzi wszystko inaczej: Nie tak widzi Bóg, jak widzi człowiek. Bo człowiek patrzy na to, co widoczne dla oczu, a Bóg patrzy na serce. W ten sposób Bóg jednoznacznie daje do zrozumienia, że ma inną optykę.

Dlatego człowiekowi, który twierdzi, że sobie z Panem Bogiem radzi, a Kościoła nie potrzebuje, trzeba starać się uświadomić to, co ojcowie na Soborze Watykańskim II tak prosto wyrazili w słowach, iż spodobało się Bogu zbawiać ludzi nie pojedynczo, lecz razem. Kościół nie jest ani ludzkim wymysłem, ani li tylko ludzką instytucją. Jest ustanowionym przez Boga znakiem i narzędziem zbawienia, które skuteczne jest dlatego, że urzeczywistnia się w Chrystusie i w mocy Jego Ducha.

Dlatego nie da się rozdzielić Chrystusa od Kościoła. Chrystus i Kościół to jedno. Jeśli chrześcijanin mówi: Bóg tak, a Kościół nie, uwodzi sam siebie, bo nie da się być z Chrystusem w oderwaniu od Kościoła, który jest Jego Ciałem. Niestety, człowiekowi, który uwzględnia tylko optykę ludzką jest to bardzo trudno zrozumieć. Tu potrzeba uznania i przyjęcia w wierze tej podstawowej prawdy, że Kościół to nie tylko instytucja, to nie tylko papież, biskupi, kapłani, siostry zakonne. "Świątynia Boga jest święta, a wy nią jesteście" - mówi św. Paweł do wszystkich wiernych w Koryncie. My, wszyscy uczniowie Pańscy, jesteśmy Kościołem Chrystusa. Chodzi zatem o właściwe rozumienie istoty Kościoła, jego misterium, jego posłannictwa, jego życia.